

# ROMANŃ I POWIEŚĆ

Rok XIX

Warszawa, dnia 20 Sierpnia 1927 roku

Nr. 34

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

32)

## ŚLEPOTA WŁADCÓW

Zdawało się, że słowo „powodzenie“ obudziło w nim echo wspomnień. Należało do wyrażen, których przenikał wyłączne znaczenie.

— Niech się dzieje wola Boga! — ciągnął car, nawiązując słowa do biegu myśli. — Wszyscy jesteście w Jego rękach. Obarczył mnie przytłaczającym zadaniem prowadzenia wojny i postawił mnie na czele prawosławnej armji. Wszystko się stanie według Jego woli. Ta myśl prowadzi mnie i dodaje otuchy.

Odetchnął głęboko i nie można było powiedzieć, czy było to westchnienie ulgi, obojętności, czy też rezygnacji; pogładził wąsa i umilkł. Znowu zapanowała przygniatająca cisza.

Zmęczony prostem trzymaniem się i duchowym dramatem, jaki rozgrywał się w zeszywniałem ciele, Dolin czuł, że spojrzenie zaczyna mu mętnieć! Car rozplywał się we mgłę. Blond włosy i niebieskie oczy drgały, jak plamy światła. Był zarazem matowy i przezroczysty. Jerzy porównywał go w myśli do jasnej mgławicy.

Zamazany obraz mówił swoim dźwięcznym głosem:

— Mam nadzieję, że pańska matka miewa się dobrze, zarówno jak ciotka, pani Wiffeldorf?

W tej chwili Dolin przypomniał sobie anegdotkę, którą ciotka często powtarzała. Pewnego wieczoru na dworskim balu cesarz podszedł do niej i rzekł:

— Tak się cieszę, że widzę panią tutaj! Nie znam nikogo.

To wspomnienie obudziło w nim litość dla człowieka, który ciągnął:

— Proszę jej powiedzieć, że jej cesarska mość żywi względem niej dużo sympatji i że ani ona ani ja nie zapominamy o przywiązaniu, którego dawała tak żywe dowody i że... tak... że...

Car urwał, zaczął mieć nerwowo kopertę, trzymaną w ręce i chwycił za wąsy. Sztuczny uśmiech zniknął, a w głębi oczu jęła się rościagać ponura pustka duszy pogrążonej w znużeniu.

Dolina ogarnęło uczucie bólu nie do zniesienia i politowania bez granic. Jakież mały był Car! Jak go unicestwiała jego własna moc i jak godnym współczucia czyniła go rozpacz! Jerzy uczuł palące pragnienie przyjscia mu z pomocą i przywrócenia mu zwycięskiego majestatu jego przodków. Niby urągławy śmiech z za grobu, śmiech stuleci, przepychu, tryumfów i chwały, brzmiały mu w duszy strofy świętego hymnu:

*Panuj dla naszej sławy!  
Panuj wrogom na trwogę!*

Dolin starał się w swoim zachowaniu uewnętrznic największą świetność zamierającego kultu. Ale daremnie. Car mógł być i prostym i wątplym i nawet nędznym, byleby tylko z niego coś promieniowało. Lecz miłość zamierała, zanim go dosięgła. Nie można go było nienawidzić, a tem mniej kochać. Wymykał się przed wszystkimi uczuciami, prócz litości.

Był tajemnicą, lecz najzupełniej bierną i wcale nie pociągającą. Przez jeden moment Dolin uznał, mimo obrzydzenia, za zrozumiałe, że carowa zwróciła się do innej tajemnicy, żywotnej, namiętnej, jaką był Rasputin. I myśli mętne, nieprzyjazne powstawały na nowo.

Co zawierał list, który on sam wręczył? Czy stary podsunął słowa? Jakie rozkazy przynosił cesarzowi? Gdy Dolin trzymał ten list, zdawało mu się, że ulatniał się zapach lekki, ale uporczywy. List niewinnej małżonki, jak utrzymywała Liza, czy list kurtizany, grającej z ręcznie miłość?

Jerzy, znajdujący się w okrutnej rozterce, nie widział nic poza groźbą katastrofy. Nie mógł przewidzieć, jak będzie wyglądało jej oblicze, ale nie mogła ominąć tego monarchy, którego spokój i zacieranie się były czynnikami najdramatyczniejszymi pośród rozpetanych mocy. Zdawało się Dolinowi, że rzuci się carowi do nóg, że błagać będzie, krzyczeć w imieniu całej Rosji swoją śmiertelną udrekę. Może zrozumie, może, skupiając się w sobie, przełamie beczynną rozpacz ofiary?

Lecz wystarczyło młodemu człowiekowi spojrzeć na cara Mikołaja II-go, by przekonać się, że poruszyć go było niemożliwością. Kroczył zbyt pewnie szlakiem swoich przeznaczeń, nic go nie mogło zaniepokoić. W oczach cesarza wyczytał Dolin, że przyjmował swój los, takim, jaki był.

Tylu innych, bardziej wymownych, starało mu się wytłomaczyć, przebłagać, onieśmielić. Nikt nie mógł odkryć tajemnicy tej nieruchomej maski. Prawda, Ojciec Sokołow wierzył, że mu się udało... Był spowiednikiem cara... Może Bóg go uzbroił...

Jak wyczytać jakieś postanowienie w tej twarzy zamkniętej, odległej, poranej miękkimi bruzdami, przerażającej? Lecz oto znowu wspaniałe oczy błyszczą lazurem. Jakby uwolniony od ciężaru, car mówił wesoło:

— Porozmawiamy jeszcze przy śniadaniu. Tymczasem adjutant będzie ci towarzyszyć podczas parady moich kozaków. To bardzo piękny widok.

Pochylił lekko głowę. Dolin rzucił ostatnie i bystre spojrzenie na pokój, w którym odbyła się ta rozmowa bez znaczenia.

Był to skromny gabinet ze stołem do pracy, stojącym pod oknem i dwoma polowemi łózkami, jednym dla cara, drugim dla jego syna. Przyglądając się łóżku następcy, Jerzy uczuł, że łyzy napływają mu do oczu.

\* \* \*

Dolin przyszedł w samą porę, ażeby być obecnym przy końcu parady. Kozacy z konwoju, duma cesarza, defilowali w milczeniu. Ciemno niebiescy, barczyści w ramionach i wąscy w pasie, wyglądali na tle śniegu, jak wielkie ptaki. Na piersiach błyszczały szeregi nabożnic. W baranich czapach, przesuniętych zlekka na bok, ze sztyletami z cyzelowanego srebra za pasem, szli krokiem rytmicznym, miękkim, giętkim, tanecznym.

Prowadzący ich oficerowie nieśli na swoich czolach zakrzepłe marzenie Wschodu. Cera ich była barwy cieplej, w spojrzeniu paliła się tęsknota i zuchwałość. Byli ochroną swojego władcy. Dzień po dniu, widzieli roztaczający się przepych nieporównanych zabaw cesarskich. Byli stróżami ubranymi w szkarłat (Galowy strój był czerwony. *przyp aut.*). Wyszkoleni jak ciało baletowe, poznali piękno ułożenia, a jednocześnie piękno waleczności.

Lecz ich wdzięk nie poruszył Dolina. Jak rzekł Kornew, parada trwała nadal.

\* \* \*

Gdy Jerzy wrócił do pałacu, sala pierwszego piętra była pełna ludzi. Dolin ujrzał wielkiego księcia Sergjusza, szefa artylerji; wielkiego księcia Aleksandra, komendanta lotnictwa; przewodniczącego Rady Trepowa w służbowym mundurze; przewodniczących misji sprzymierzonych; bezczelnego Wojejkowa; obojętnego księcia Hipolita.

Od tego tłumu odbijali dwaj olbrzymi starcy w generalskich mundurach. Stali nieruchomi i wyprostowani, jak karjatydy. Jednym z nich był hrabia Frederiks, minister dworu, drugim — hrabia Benckendorf, wielki marszałek. Okazali i ponurzy, przeżyli epokę wspaniałych rządów, której dziś byli już tylko skostniałymi szczątkami.

Robili wrażenie ostrych wyrzutów dla dwóch linjowych oficerów, wciśniętych w kąt i wstydzących się w tej atmosferze wytworności swoich biednych mundurów i twarzy wyniszczonych orką wojenną.

Jerzy przyglądał się temu widowisku z roztarżeniem. Wtem poczuł, że ktoś pociągnął go za guziki od bluzy. Był to marszałek Dworu o poźółkłej cerze, który ze zgarbionemi ramionami oglądał jego mundur jako prawdziwy znawca. Poczem zapytał z powagą:

— Pragnę, żeby mi pan objaśnił. Idzie o jedną sprawę, która mnie bardzo zajmuje. Kwestja zaopatrywania w polu. Jak pan uważa, czy lepiej jest podróżować z kantyną niską i szeroką, czy też wyższą a głębszą?

— Doprawdy, hrabio, nie mam pojęcia. Nigdy nie zadawałem sobie tego pytania.

— Bardzo żałuję, kapitanie. Jest pan dziesiątym oficerem, do którego zwracam się z tem. Nikt nie potrafił dać mi dokładnej odpowiedzi. Może za innym razem.

Wszyscy ustawili się koło okien i przy fortepianie. Zjawił się car, a za nim carewicz. Następca tronu był również ubrany w bluzę khaki, ze złotemi naramiennikami, obciągniętą skórzanym pasem. Ze

swoim radosnym śmiechem robił wrażenie dziecka pułku, namalowanego przez czarującego artystę.

Cesarz przeszedł do jadalni. Było tam bardzo jasno. Przez trzy wielkie okna roztaczał się przepiękny krajobraz, który przecinał gaj i wody Dniepru.

Goście tłoczyli się przy stole z przekąskami. Sam cesarz robił honory domu.

— Oto świetny kawior, — zwrócił się do Dolina. — Przystano mi go z pewnego klasztoru. Proszę skosztować, bardzo proszę.

Jerzy z trudem poznawał cesarza. Był to ten sam osobnik tajemniczy i odległy, którego opuścił przed chwilą? Jak pogodzić tę wzruszającą prostotę, serdeczną uprzejmość, ten szczery, otwarty wyraz twarzy z grozą, jaką widział na tych rvsach, obecnie tak szczęśliwych? Śnił? Mylił się jeszcze?

Ażeby sprawdzić swoje uczucia, obrócił się instynktownie w stronę dwóch linjowych oficerów, których skrzepowanie uderzyło go przedtem. Byli weseli, swobodni. Urok promieniejący od cesarza wyzwolił ich z przygnębienia.

Pijąc wódkę, cesarz rozmawiał po angielsku z szefem misji angielskiej, generałem Hanbury Williamsem. Wypytywał o polowania w Indjach, i można było pochwytać w jego głosie gorącą sympatję, jaką żywił dla tego szczerego i doskonałego gentlemana. Czuło się, że nic nie potrafi ująć cesarza tak, jak ten prostolinijny umysł, o widnokreśgu ograniczonym troską, by dobrze żyć, umysł trwający w poszanowaniu ustanowionego ładu i pełen rozsądnej bojaźni Bożej.

Przy stole po prawej stronie cesarza siedział generał Nakaima, szef japońskiej misji, po lewej carewicz. Dolina umieszczono nawprost starego towarzysza i przyjaciela cara, admirała Niłowa. Mały, zgarbiony, z nosem zaczerwienionym od nadmiaru alkoholu, zacięty przeciwnik Rasputina, groteskowy i sympatyczny zarazem, zapijał obficie wino z carskich apañaży i krzywił się do butelki Kuwaki, stojącej przed Wojejkowem.

Nagle, pochylając się ku Jerzemu, szepnął w taki sposób, ażeby go wszyscy słyszeli:

— Szkoda, że pan nie przyjechał pod nieobecność tej Kuwaki — wskazał Wojejkowa — wtedy, gdy byłem komendantem pałacu. Mdlę mnie na sam widok tej wody mineralnej.

Dolin był zdumiony tą swobodą słów. Lecz obecność cesarza nikogo nie krępowała. Wszystko, począwszy od potraw, było bardzo proste. Najpierw podano zupę, następnie mięso z jarzyną i suflet z jabłek. Dworska służba w żołnierskich mundurach, skromna i zwykła zastawa, powierzchowna rozmowa, wszystko to miało charakter rodzinny i spokojny.

Od czasu do czasu car podnosił do warg srebrny kieliszek, który napełniano maderą. Pił mało. Dolin był mu w duchu wdzięczny za to umiarkowanie. Tematem podtrzymującym rozmowę cesarza była pogoda. Zapowiadały się piękne dnie i Mikołaj II-gi szczerze się tem cieszył.

— Będziemy mogli — rzekł do generała Hanburg Williamsa — zrobić spacer wzdłuż Dniepru. To nas pogodzi z zimą. Ile miesięcy upłynie, zanim będziemy mogli z Aleksym pracować w ogrodzie!

Tak rozpoczęta rozmowa toczyła się wkoło możliwych wycieczek, zajęć ogrodowych przy trawnikach i ścieżkach, które wykonywał car wraz z synem, i do których chciał powrócić, gdy nadejdzie wiosna. Ani słowa o wojnie. Można by sądzić, że jest się po polowaniu na śniadaniu w dworze szlacheckim.

(D. c. n.).

3) **Historja, aż zanadto prawdziwa**

— Mieszkałem owej pięknej wiosny w Alassio w pewnym małym pensjonacie, położonym tuż na brzegu morza. Małym — powiadam — gdyż cały ten pensjonat Signore Morelli składał się zaledwie z pięciu pokoi. Okna mego pokoju wychodziły na morze, które szeptało mi co noc słodką kołysankę. Gdy się sprowadzałem do tego pokoju, łudziłem się podświadomie nadzieją, że szczęśliwy traf umieści mnie w sąsiedztwie jakiejś uroczej niewiasty, z którą wspólnie będziemy wysłuchiwać conocnego szeptu fal. Niestety! Los mi widocznie nie sprzyjał, gdyż towarzystwo trzech starszych anglików, którzy zamieszkiwali pensjonat, nie mogło przecież ziścić moich marzeń. Piąty pokój, przylegający ścianą do mego — był chwilowo niezajęty. Jednak i ten wąty płomyk nadziei zgasł, gdy do pokoju tego wniósł się po kilku dniach jakiś elegancki młodzieniec, zdaje się, włos. Tak przynajmniej poinformowała mnie, przynosząc ranne śniadanie, pensjonatowa służąca.

Pewnego wieczora powróciłem do siebie jakiś bardziej znużony, szybko się rozebrałem i zasnąłem natychmiast. Pamiętam, że gdy przechodziłem przez hall, biła godzina dziewiąta. Było więc jeszcze bardzo wcześnie.

Nie wiem, jak długo spałem, dość, że gdy się obudziłem w nocy, uszu mych doleciał jakiś bardzo słaby i stłumiony jęk. Zza ściany, z pokoju zajmowanego przez włoska. Uniosłem się na łóżku, przyłożyłem ucho do ściany i zacząłem nadśłuchiwać. Po chwili jęk się powtórzył. Był tak samo stłumiony i cichy. Najwyraźniej ktoś jęczał za ścianą.

Wdziałem pantofle i w pyjama, pocichu wyszedłem na kurytarz, w zamiarze przyjscia z pomocą, gdyby jej potrzebował mój sąsiad. Podeszedłem do jego drzwi: dyskretnie zapukałem. Nikt mi nie odpowiedział — tylko znowu doleciał mnie ten sam daleki cichy jęk. Przez dziurkę od klucza sączył się na kurytarz wąziutki pasek światła z wnętrza pokoju.

Nie chcąc robić alarmu, po nocy, otworzyłem cicho drzwi i wszedłem. W pokoju nie było nikogo. Na nocnym stoliku przy łóżku paliła się lampa — lecz łóżko było puste.

Rozejrzałem się uważnie po pokoju, i' odrazu uderzyło mnie to, że wyglądał on tak, jakby w nim nikt nie mieszkał. Ani śladu jakichkolwiek rzeczy, nawet walizki nie było żadnej.

I w tej chwili oczy moje padły na stojące przy łóżku damskie pantofelki.

— Oho — pomyślałem — wcale nie brzydkie!

Wziąłem do ręki jeden z tych pantofelków i zacząłem mu się przyglądać.

A było też na co popatrzeć, moi państwo. Pantofelek był niby cacko, mały, elegancki, wytworny. Brelok raczej — nie pantofelek!

Dzieło sztuki — nie przedmiot codziennego użytku. Zrobiony był z czerwonej delikatnej gemzy, powycinanej w misterne gwiazdy, przez które musiała przeświecać cielistą pończoszka. Właściwie mniej tam było skóry, niż tych gwiazd. Cóż to za artysta musiał być ten szewc, który taki poemat wypieścił. Zajrzałem do wnętrza pantofelka. Na białej skórce, którą wyścielone było dno pantofelka, widniało nazwisko tego artysty: Pietro Croci: Firenze.

W tej chwili doleciał mnie z kąta pokoju znowu ten sam jęk, który uprzednio słyszałem. Spojrzałem w tę stronę, skąd jęk dochodził. W miejscu tem stała wielka lustrzana szafa. Jęk więc pochodził z szafy.

Zbliżyłem się i chciałem otworzyć drzwi szafy, lecz były zamknięte na klucz, który zresztą tkwił w zamku. Przekręciłem klucz i już miałem otworzyć szafę, gdy nagle usłyszałem cichy głos kobiety:

— Na miłość boską, niech pan nie otwiera. Jestem zupełnie naga — rzekła po francusku.

— Co się stało — wyszeptałem.

— Niech pan o nic nie pyta, proszę pana o to, sądzę, że jesteś pan dżentelmenem. Proszę wyjść z pokoju, a ja się tymczasem ubiorę. Tylko prędko, bo już zupełnie omdleam z braku powietrza.

Pospieszyłem wypełnić jej rozkaz. Wyszedłem na kurytarz i przyknałem drzwi za sobą. Po chwili usłyszałem skrzypnięcie drzwi w szafie, tupot bosych stóp po podłodze i znowu jęk tym razem głośniejszy.

Zapytałem szeptem przez drzwi.

— Pani się źle czuje? Może wody? Ciche chlipanie było mi odpowiedzią. Powtórzyłem pytanie — lecz bez skutku. Przyłożyłem ucho do szpary w drzwiach i najwyraźniej usłyszałem, że moja lokatorka z szafy — płacze.

Wówczas, nie zważając już na nic, wszedłem do pokoju. Na łóżku tyłem do mnie odwrócone, siedziało owinięte w prześcieradło jakieś urocze stworzenie. Twarzy dojrzeć nie mogłem, gdyż prześcieradło nasunięte miała aż na czub głowy. Nie widziałem nawet, jakiego koloru miała włosy. Dostrzegłem tylko wysuwające się z pod prześcieradła gołe nogi obnażone aż poza kolana, a na tych bosych, toczonych nóżkach włożone na prędcie dwa czerwone pantofelki w gwiazdy wycinane.

— Niech pan nie podchodzi, niech pan nie podchodzi — rzekła głosem wzburzonym.

Zatrzymałem się więc w znacznej odległości od niej.

Sytuacja była istotnie niezwykła. Nie rozumiałem nic a nic z tego wszystkiego i cierpliwie czekałem rozwiązania zagadki.

— Proszę pana — ozwała się wreszcie — musi mi pan wyświadczyć pewną przysługę. Nie wiem, kim pan jest, ale sądzę, że jest pan dżentelmenem i człowiekiem dyskretnym. Chodzi o to, że nie mam w co się ubrać, i... no, że jestem zupełnie naga, i...

Łzy nie pozwoliły jej dokończyć zdania.

— Więc słucham, zrobię, co pani każe, tylko niech pani nie płacze.

— Musi się pan wystarać o jakieś ubranie dla mnie.

— Hm, ubranie... gdzież ja je jednak po nocy znajdę — mruzczałem w swej bezradności.

— To mi jest wszystko jedno... No, proszę pana, przecież ja w tem prześcieradle nie mogę paradować po ulicy!

— Rozumiem to, proszę pani, doskonale, ale niech pani zechce zrozumieć, że teraz noc i że ja jestem mężczyzną...

— O tylko bez tego! Już pan chce wykorzystać sytuację biednej kobiety...

— Ale niechże pani wysłucha do końca. Mówię,

że jestem mężczyzną, to znaczy, jestem w posiadaniu tylko garderoby męskiej.

Pożycz mi pan swoje palto.

— Ależ z przyjemnością! O ile tylko to panią zadowolą i wystarczy....

— Wystarczy, bo teraz jest noc i pusto wszędzie. Siądę do fiakra i jakoś dojadę.

Niebardzo rad byłem z takiego obrotu sprawy, ale trudno, mężczyzna nie zawsze może być tylko mężczyzną, musi być czasem i... dżentelmenem. Należało mi się jednak za to wyjaśnienie sytuacji, w jakiej się znalazła właścicielka czerwonych pantofelków. Zapytałem więc ją wręcz o to, jakim sposobem znalazła się w szafie, kto ją zamknął na klucz i gdzie się podział lokator tego pokoju, ognisty włoszyn.

Wytłomaczyła mi to wszystko w kilku słowach. Włocha poznała przed tygodniem. Ponieważ jest mężatką, skorzystała z okazji, że mąż wyjechał na kilka dni do Nicei i zgodziła się przyjść tutaj. Spędziła tu kilka bardzo miłych godzin. W pewnej chwili usłyszeła stukanie do drzwi. Jej kochanek nasunął jej podejrzenie, że to mąż jej stuka. Pewno śledził ich i nie wyjechał wcale do Nicei. Stukanie się powtórzyło. Wówczas włosz kazał jej wejść do szafy i zamknął na klucz. W chwilę potem słyszała, jak wyszedł na kurytarz, skąd dochodziły odgłosy rozmowy. Słyszała jeszcze jakieś szmery w pokoju, wreszcie wszystko ucichło. Siedziała w szafie może pół godziny, może godzinę. Zaczęło jej jednak brakować powietrza, przyczem jakieś złe przecucie powiedziało jej, że wpadła w zasadzkę.

Zaczęła wówczas jęczeć. Nie za głośno, aby nie zrobić alarmu na cały dom, lecz aby ktoś jeden ją usłyszał i uwolnił. A gdy uwolniłem ją wreszcie z tego więzienia, zobaczyła z przerażeniem, że padła ofiarą oszusta i złodzieja. Znikły jej biżuterje, które zdjęła i złożyła na nocnej szafce, suknia, bielizna, płaszcz, etola sobolowa, słowem, wszystko. Ograbił ją doszczętnie.

— Tak podle mnie oszukał! — pasjonowała się.

Przyniosłem więc jej mój letni płaszcz z gabardiny, szeroki i długi. Mogła się nim owinać do kostek. Położyłem go na poręczu łóżka, usuwając się dyskretnie na kurytarz. Już byłem we drzwiach, gdy spytała mnie o nazwisko.

— Przecież muszę panu jutro ten płaszcz odesłać.

Westchnąłem tylko i uśmiechnąłem się na myśl o zakończeniu tej mojej ...przygody.

Nazajutrz rano obudził mnie posłaniec, który mi przyniósł pożyczone wczoraj palto i list. W liście było tylko parę słów: „Dziękuję. Wszystko poszło szczęśliwie, jest pan prawdziwym dżentelmenem”.

Minęło parę tygodni. Pobyt mój na Rivierze zbliżał się ku końcowi. Nie spotkała mnie żadna inna przygoda, oprócz tej opowiedzianej przed chwilą, jeśli ją można nazwać przygodą. Zresztą i o niej zapomniałem zupełnie.

Aż tu, któregoś popołudnia, idę sobie spacerem na molo i widzę, jak z przeciwka kroczy powoli jakaś elegancka pani. Blondynka, oczy duże, marzące, postawa, ruchy, chód, pierwsza klasa. Patrząc na nogi... Boże! Czy ja śnię! Na nóżkach, obciążniętych w jedwabną cielistą pończoszkę — czerwone pantofelki w gwiazdy!

— Niemożliwe — myślę sobie — czyżby istniały takie drugie identyczne pantofelki! To musi być moja nieznaną z szafy...

Decyduję się w jednej chwili, podchodzę do uroczej pani, uchylam grzecznie kapelusza i pytam:

— Przepraszam, że panią niepokoję. Czy nie

mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie pani nabyła takie piękne pantofelki. Mam polecenie kupienia podobnych i nigdzie nie mogę znaleźć.

Popatrzyła na mnie jakoś nieufnie. Może głos mój przypomniawszy sobie. Nie wiem. Poczem tonem obojętnym rzekła:

— Nic dziwnego, że pan nie może tu kupić podobnych. Te pantofelki są bowiem kupione we Florencji.

— U Pietro Croci — wypaliłem i zanim miałem czas dostrzedz, jakie to na niej zrobi wrażenie, szybko się oddaliłem.

— No i co, i co? — zapytała pani z vis à vis przedziału.

— A no, nic — odparłem.

— I więcej pan nie spotkał tej uroczej nieznanym?

— Owszem, poznałem ją nawet osobiście w pewnym towarzystwie, ale stało się to znacznie później. Była to, jak się później okazało, żona mojego dobrego znajomego, przemysłowca z Łodzi, który się niedawno ożenił. Notabene nie była wcale francuzką, tylko rodowitą polką. Odbywali właśnie podróż poślubną i ostatnio przed przybyciem na Rivierę dłuższy czas mieszkali we Florencji, gdzie piękna pani nabyła owe fatalne czerwone pantofelki w gwiazdy...

## VI

Gdym skończył opowiadanie, zwróciliśmy wszyscy oczy w stronę siedzącego, jak dotąd, w głuchym milczeniu szóstego i ostatniego towarzysza podróży. Czekaliśmy, że i on opowie nam coś à propos poruszanego tematu. Lecz jegomość ten spojrział z flegmą na zegarek i rzekł: — Już piąta. Za trzy godziny będziemy w Krakowie. Czy nie uważacie państwo, że warto by się cokolwiek zdrzemnąć?

Uważaliśmy tę propozycję za zwykły wykręt, lecz wobec tego, iż byliśmy już mocno przemęczeni i że naprawdę było już późno — nie nalegaliśmy. Za chwilę istotnie zmorzył nas sen i rytmiczne kołysanie wagonu.

Obudził nas zgrzyt hamulców i zatrzymanie pociągu. Było już zupełnie jasno na dworze, a pociąg nasz stał na peronie dworca w Krakowie. Rzuciliśmy się gwałtownie do zbierania swych rozrzuconych bagaży, a przedewszystkiem do zostawionych pod kanapą trzewików. Lecz nikt z nas nie znalazł tam swego obuwia. Spojrzeliśmy pytająco jeden drugiemu w oczy. I dopiero teraz spostrzeżliśmy, że jest nas w przedziale tylko pięć osób. Wszyscy, oprócz milczącego jegomościa, który siedział przy drzwiach, a który znikł gdzieś bez śladu.

— Mam wrażenie — ryknął wesoło literat, — że nasz szósty towarzysz podróży dostarczył nam tematu do najzabawniejszej historji, o butach, bo najprawdziwszej!

Nie ulegało wątpliwości, że tak było w istocie. Zrzuciwszy więc pychę z serca, wyruszyliśmy z wagonu na bosaka. Nie było przecież innej rady, trzeba było wysiąść. I brnąc tak w skarpetkach po błocie peronu, tworzyliśmy dziwny pochód, na widok którego przystawała ze zdziwieniem służba kolejowa i liczni pasażerowie. Szczególną zaś uwagę zwracały drepczące po błocie cienkie, jedwabne pończoszki naszej blondynki z przedziału.

— Tak, wyrzekł sentencjonalnie doktrór — jest to historja aż zanadto prawdziwa i dlatego taka bezgranicznie głupia! Do widzenia państwu!

Ukloniliśmy się sobie wszyscy z wyszukaną elegancją i ruszyliśmy każdy w swoją stronę.

K O N I E C